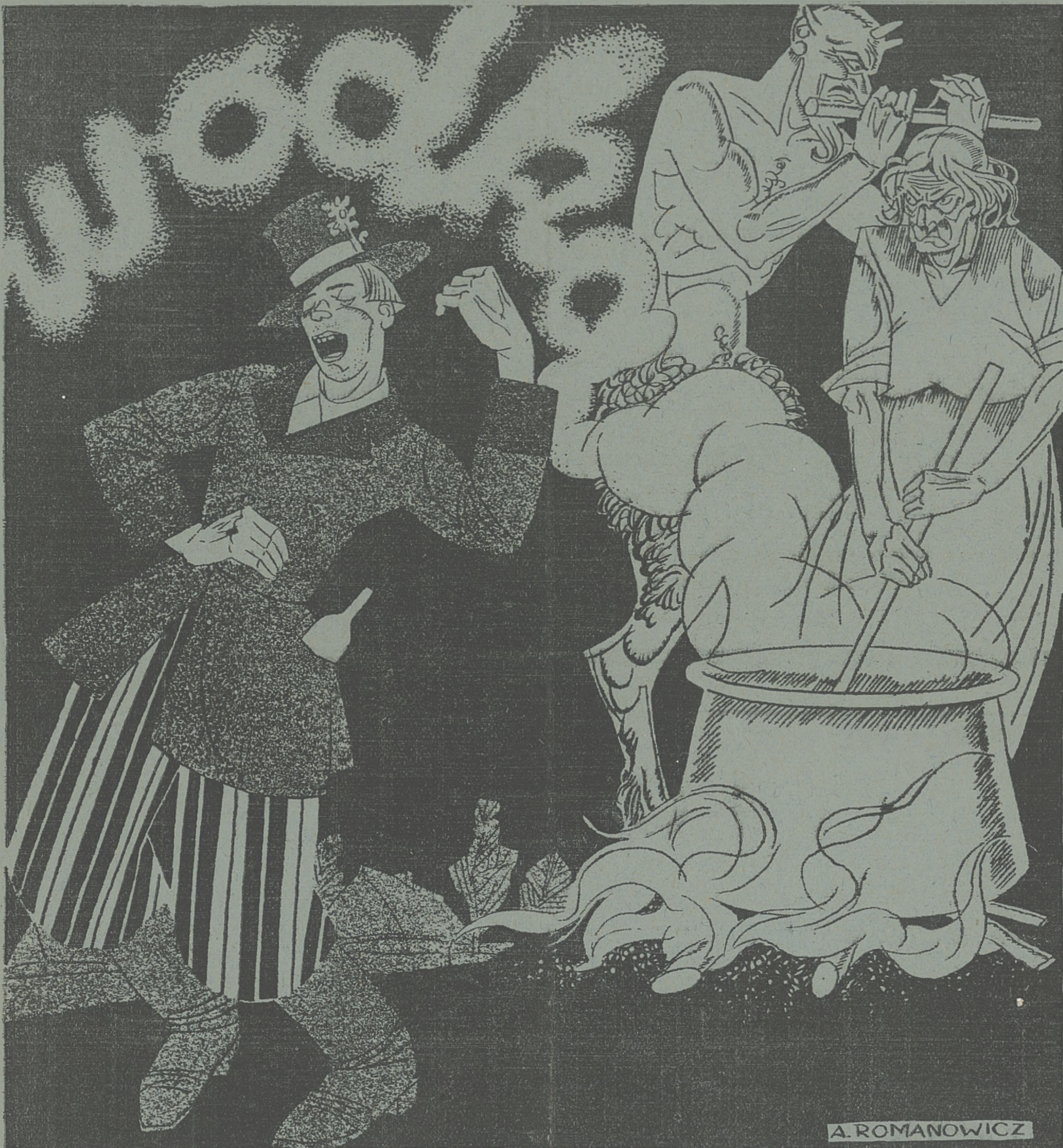
Nr. 12 Rocznik III. Cena 50 groszy. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem



ORĘDOWNIK ZDROWIA

Nr. 12 1928 r. Rocznik III.

ORĘDOWNIK ZDROWIA

MIESIĘCZNIK

Redaktorzy naczelni i odpowiedzialni: Dr. Marcin Kacprzak i Dr. Czesław Wroczyński

Wydawca: Polskie Lekarskie T-wo Wydawnicze — Warszawa, ul. Mokotowska 49, tel. 178-69.

Ze wszystkich klęsk społecznych alkoholizm jest jedyną, której wykorzenienie zależy wyłącznie od dobrej woli ludzkiej, jedyną w której wystarczy powiedzieć NIE, by jej nie było, jedyną, którą człowiek sam sobie stworzył, bo alkohol na swoją zgubę wynalazł. Cóż bo zdawałoby się łatwiejszego nad wyrzeczenie się trucizny rujnującej zdrowie, niszczącej dobrobyt, prowadzącej często do zbrodni, a zawsze do zubożenia, do nędzy?

Zdawałoby się, że wystarczy świadomość czem jest alkohol, by go nie było, a jednak tak nie jest. Niema bodaj ludzi, którzyby mogli szczerze powiedzieć, że alkohol kogokolwiek, kiedykolwiek uszczęśliwił (z wyjątkiem szynkarzy), a jednak mało jest takich, którzyby mieli odwagę oprzeć się pokusie, powiedzieć odważnie sobie i innym, że nie piją. Wszyscy wiemy, jakie są skutki nietylko nadużywania, ale i używania alkoholu, a plaga alkoholizmu raczej zwiększa się, niż zmniejsza.

Piją ludzie wszystkich stanów i wszystkich zawodów, piją przy każdej sposobności, a jak jej niema, to ją sobie stwarzają. Jakież stąd wyjście, czy nowe zakazy? Nie.

Trzeba nauczyć się świętować, bawić, cieszyć bez wódki, trzeba żeby człowiek miał tak bogate życie wewnętrzne i takie zainteresowania, żeby chciał i umiał przepędzić czas przyjemnie nietylko przy kieliszku, ale i przy książce i w teatrze i w kinematografje i na odczycie i na boisku sportowem i na zabawie.

Trzeba żeby każdy wiedział co ma zrobić z wolnym czasem tak, żeby się nie nudził, żeby mu było wszędzie i zawsze lepiej bez kieliszka, niż z kieliszkiem.

Wtedy zamiast każdego szynku powstanie szkoła lub dom ludowy,
wtedy Polska będzie na prawdę wolna, potężna,
wtedy w Polsce będzie dobrze.

Doc. Dr. G. SZULC.

Wpływ alkoholu na narządy wewnętrzne.

Różne bywają trucizny. Są takie, co zatruwają krew i powodują śmierć gwałtowną przez to, że krew staje się niezdatna do użytku. Inne działają trująco na mózg i nerwy, pozbawiają człowieka świadomości i czucia. Jeszcze inne przeżerają żołądek i jelita, lub też niszczą narządy ważne do życia, takie jak wątroba lub nerki. Jednak przeważna część tych trucizn działa tylko w jednym kierunku, zniszczenie spowodowane przez truciznę ograniczone jest zazwyczaj tylko do jednego narządu, lub conajwyżej kilku. Spotykamy obok tego takie trucizny, które powodują zniszczenie w całym ustroju, nie oszczędzając żadnego narządu, żadnej części ciała i sprowadzają schorzenia ogólne, ciężkie, trudne do wyleczenia, prowadzące najczęściej do przedwczesnej śmierci. Do takich trucizn o działaniu ogólnem należy alkohol czyli spirytus. Nie będę tu omawiać tak zwanego ostrego zatrucia alkoholem, znanego pod nazwą upicia się. Najczęstszym objawem takiego ostrego zatrucia jest utrata przytomności, trwająca rozmaicie długo i niekiedy, u osób bardziej zatrutych, kończąca się nawet śmiercią. Zbyt znane są to rzeczy, bym je potrzebował powtarzać. Mniej natomiast znane szerokiemu ogółowi są te zmiany i choroby, jakie sprowadza przewlekłe zatrucie alkoholem, wskutek częstego, albo stałego picia wódki, oraz innych napojów, zawierających alkohol. Im alkohol jest bardziej stężony, czyli, jak się to mówi, im wódka jest mocniejsza, tem prędzej i tem cięższą sprowadza chorobę. Najbardziej więc niebezpieczne jest używanie mocnych wódek i czystego spirytusu, choć i najsłabsze napoje przy ciągłem używaniu prowadzą nieuchronnie do poważnych chorób, skracających życie.

Jakie to choroby i w jakich narządach powoduje wódka?

Próżno byśmy szukali takiego narządu w ciele ludzkiem, gdzieby wódka nie wyrządzała szkody. Szkodliwe jej działanie rozpoczyna się od pierwszej chwili wlania jej do ust. Delikatna błona śluzowa, wyściełająca usta pod wpływem alkoholu ulega zniszczeniu, przedostają się wgłąb różne zarazki, wywołujące zapalenie błony śluzowej, głównie na dziąsłach i na języku, następuje niesmak, brak apetytu, cuchnienie z ust, ropienie dziąseł i wypadanie zębów. Najgorsze jednak zniszczenia powoduje alkohol z tą chwilą, kiedy przedostaje się do żołądka. Trudno jest pojąć, jakiego rodzaju są te szkody bez znajomości budowy i czynności żołądka. Musimy wiedzieć dokładnie, że żołądek odgrywa ważną rolę w trawieniu. Spożyty pokarm w żołądku, niby w fabryce chemicznej, ulega przeróbce na taką postać, która może wędrować dalej do kiszek (jelit) i tu po niewielkich już zmianach może przedostać się przez ściankę jelita do krwi.

Do tej przeróbki służy sok trawienny wytwarzany w żołądku. Otóż ten sok jest niezbędny do trawienia i bez niego pokarm tkwiłby w żołądku w stanie niestrawionym. Sok ten wydzielany jest przez ścianę żołądka, a właściwie przez delikatną błonę śluzową, wyściełającą żołądek. Wyobraźmy sobie teraz, że na tę ścianę lejemy codziennie płyn ostry, palący, zabijający drobniutkie komórki, wydzielające sok żołądkowy. Niepotrzeba być lekarzem, żeby zrozumieć, że wówczas wydzielanie soku żołądkowego nadal odbywać się już nie może. Początkowo, wskutek podrażnienia tych komórek, wydzielają one nawet nieco więcej soku, ale nie jest to już ten sam sok trawienny, jaki wydziela żołądek zdrowy; jest to raczej jakiś płyn śluzowy i surowiczy, taki, jaki się wydziela przy oparzeniu na skórze. Po pewnym czasie jednak i to wydzielanie ustaje. Żołądek przestaje trawić zupełnie, człowiek traci apetyt, ma gniecenie w dołku, nudności, wymioty, zaczyna chudnąć, choćby nawet jadł więcej, niż normalnie, cera staje się niezdrowa, szara, ziemista, często żółtaczkowa wskutek równoczesnego schorzenia wątroby. U źle odżywionego, wyniszczonego rozwijają się łatwo rozmaite choroby przypadkowe i człowiek taki ginie przedwcześnie przez nic innego, jak tylko przez wódkę.

Gdybyż to tylko wyniszczenia powodowane przez wódkę ograniczały się do żołądka, byłoby jeszcze nieźle. Niestety, zatrucie sięga dalej. Takie same zniszczenie znajdujemy u pijaka w jelitach. Wątroba, przez którą przechodzą wszystkie te produkty, przedostające się przez ścianę jelit do krwi, musi przepuszczać przez siebie całą ilość wypitej wódki. Nic więc dziwnego, że wątroba ulega chorobie najwcześniej. Choroba ta może przez długi czas nie przejawiać się niczem i potem nagle wybuchnąć dopiero w tym okresie, kiedy już żaden lekarz nic pomóc nie może. Najczęściej dochodzi do t. zw. marskości wątroby pijaków: tworzy się duża wątroba, często bolesna, na skórze występuje żółtaczka, w brzuchu zbiera się płyn puchlinowy, na nogach tworzą się obrzęki. Zwykle jest to już początek końca. Osobnik taki nie może już chodzić, a tembardziej pracować, nie opuszcza już

zwykle łóżka, aż do śmierci, która zwykle nie długo w tym okresie daje na siebie czekać.

Tu musimy wspomnieć jeszcze o jednym ważnym narządzie, mianowicie o nerkach, wydzielających mocz. Bez nerek człowiek nie mógłby żyć nawet jednej godziny, gdyż wydalają one ciągle nazewnątrz różne trucizny, jakie się bez przerwy dostają do krwi. Oczywiście nerki te, jak mogą, tak starają się usunąć z krwi alkohol, który jest jedną z najstraszniejszych trucizn, udaje im się to jednak niedługo. Trucizna jest tak silna, że przy przechodzeniu przez nerki powoduje i tam zniszczenie; powstaje przewlekłe zapalenie nerek, które lekarz łatwo poznaje po bólu głowy, obrzękach na twarzy i całym ciele, a przedewszystkiem po zbadaniu (analizie) moczu. Wreszcie nerki przestają działać zupełnie i alkoholik ginie przy objawach t. zw. mocznicy, czyli zatruciu krwi moczem.

Największe spustoszenia czyni jednak alkohol w najbardziej delikatnym narządzie, mianowicie w mózgu i nerwach. Każde upicie się jest właściwie chorobą umysłową, spowodowaną zatruciem mózgu. Przy zatruciu przewlekłem dochodzi do ciężkich chorób, które najczęściej nie poddają się łatwo leczeniu. Można tu wiele wyliczyć takich chorób umysłowych, których przyczyną jest wódka i które prowadzą nieuchronnie do domu dla obłąkanych. Znana jest np. t. zw. biała gorączka, czyli obłęd opilczy, wzbudzający zgrozę w każdym, kto ma możność zobaczenia tej choroby. Dalej strasznem cierpieniem niewątpliwie jest t. zw. manja prześladowcza na tle zazdrości u pijaków, prowadząca często do zabójstwa i zbrodni. Ciężką chorobą jest psychoza Korsakowa, dalej paraliż alkoholowy, dalej otępienie umysłu alkoholowe, dalej padaczka alkoholowa i wiele innych chorób, znanych specjalistom lekarzom. Wszystkie szpitale dla obłąkanych opustoszałyby w znacznym stopniu, gdyby ludzkość wyrzekła się raz nazawsze napojów alkoholowych.

Alkohol nie oszczędza żadnego narządu w ciele ludzkiem. Przynosi on szkodę nawet takim narządom, które, zdawałoby się, z trawieniem nie mają nic wspólnego. Do takich narządów należą między innemi gruczoły rozrodcze, służące do utrzymania gatunku ludzkiego. Te gruczoły ulegają również poważnemu uszkodzeniu, którego skutki możemy dopiero pojąć, kiedy mamy możność ocenić, jakie to dzieci rodzą się z rodziców — pijaków. Ileż to głuptasów, kretynów, idjotów od urodzenia zawdzięcza swe nieszczęśliwe istnienie tylko temu faktowi, że ojciec lub matka ulegali nieszczęsnemu nałogowi pijaństwa.

Niepodobna w tak krótkich słowach, choćby najpobieżniej, wyliczyć te choroby i cierpienia, jakie ludzkość samochcąc sobie stwarza przez picie wódki. Nauka lekarska zna ich bardzo dużo i opis tych chorób stanowi treść licznych dzieł lekarskich. O żadnej truciźnie nie napisano tyle książek, co o wódce i z tego więc względu możemy sobie jeszcze raz powiedzieć, że najstraszliwszą trucizną na świecie jest wódka.

Dr. J. BABECKI.

Pijany a pijak (obłąkany i tępy).

Już w dwie minuty po wypiciu kieliszka wódki można przy pomocy analizy stwierdzić obecność alkoholu we krwi i we wszystkich organach, dokąd go krew zanosi, mówią nam badacze.

Nic więc dziwnego, że alkohol może wywierać wpływ ujemny na wszystkie organy.

Gdyby, jednak, zaburzenia powstawały jedynie w przewodzie pokarmowym, w nerkach, wątrobie i sercu to, nieszczęście nie byłoby takie, żeby alkohol nazywać najgorszą klęską społeczną. Schorzenia, bowiem, tych organów pod wpływem alkoholu występują bardzo powoli, po długoletnim używaniu, a najczęściej nadużywaniu ich, zwykle dopiero w wieku starszym, a w niektórych razach skutki te są wogóle mało widoczne.

Tacy ludzie dobrze znoszący alkohol mogą dożyć bardzo późnego wieku, mało zresztą szlachetnego zadowolenia z siebie i z życia, a przynosząc ogółowi więcej szkody niż korzyści.

Zło alkoholu jednak leży w czem innem.

Jest on przedewszystkiem trucizną nerwową, najszybciej i najsilniej atakuje komórki układu nerwowego.

Ale i w mózgu nie wszystkie części tkanki nerwowej jednakowo szybko ulegają zaburzeniom. Najpierw i najsilniej są zaatakowane te komórki, które najpóźniej się rozwijają, są w rozwoju najmłodsze, ale najbardziej wydoskonalone. Komórki te rządzą czynnościami wyższych władz umysłowych, zdolnością krytycznego sądu, subtelnych uczuć i siły woli.

Później nieco występują zaburzenia ośrodków drugiego rzędu, to jest tych, które panują nad zdolnością kojarzenia ruchów złożonych, mowy i równowagi. A dopiero przy użyciu bardzo dużych ilości alkoholu zaburzeniom ulegają ośrodki pierwszego rzędu, regulujące czynności płuc i serca, najstarsze, najbardziej niezbędne do życia, ale najmniej wydoskonalone, rozwinięte u człowieka tylko w takim stopniu, jak u zwierząt.

Szybkość, z jaką występują wspomniane zaburzenia i stopień ich nasilenia, zależy od ilości wypitego napoju, jego mocy i od osobniczej wrażliwości; widoczne zaś objawy ostrego zatrucia alkoholowego czyli upicia się — od dziedzicznego usposobienia pijących.

Znany polski psychjatra Dr. Radziwiłłowicz wyraża się, że gdy człowiek wchodzi do sali, w której znajduje się towarzystwo pijanych, ma przed sobą, jak w wielkim szpitalu dla umysłowo chorych, zbiór różnych postaci obłędu.

Jedni, znajdujący się w początkowem stadjum upicia, są podnieceni, rozprawiają żywo, gestykulują, śmieją się, skaczą lub płaczą, filozofują, chcą reformować świat i ludzi — wszyscy oni są ogarnięci ostrym obłędem przejściowym, zupełnie podobni do manjaków, melancholików, obłąkańców wszelkich odcieni, a których obłęd występuje w postaci urojeń i wynikającego z nich ostrego szału i pomięszania — ci są bardzo niebezpieczni, awanturują się, niszczą sprzęty i naczynia, często biją, krają nożem, strzelają, gwałcą i palą.

W tem stadjum upicia krąży w człowieku, jak powiada Szekspir, krew tygrysia.

Po użyciu większej ilości alkoholu ulegają zatruciu i ośrodki kojarzenia ruchów. Pijany jąka się, plącze i bełkocze, wywraca oczami, wykonywa śmieszne, niepewne ruchy, chwieje się, potrąca i przewraca wszystko dookoła siebie, nie może ustać ani iść prosto, wreszcie zwala się z nóg całkowicie — krąży w nim wtedy krew nierogacizny, według trafnego określenia Szekspira.

Wreszcie, gdy stan upicia posuwa się jeszcze dalej, zaburzeniom ulegają i ośrodki płuc i serca, oddech staje się szybki i powierzchowny, bicie serca przyspieszone i słabe; w razach bardzo ciężkiego zatrucia porażenie płuc i serca może sprowadzić śmierć.

Ostry, przemijający obłęd pijanych, jest przyczyną wielu nieszczęść, przestępstw, zbrodni i tragedyj rodzinnych i społecznych.

Częste nadużywanie alkoholu, wielokrotne upijanie się prowadzi do trwałego obłędu i otępienia opilczego, do urojeń, zupełnego zatracenia uczuć etycznych, estetycznych i do przedwczesnego uwiądu starczego na tle opilstwa.

A jednak, ani przemijający obłęd opilczy, ani trwałe otępienie niepoprawnych opojów, nie są jeszcze najgorszą klęską sprowadzaną przez alkohol.

Największem złem, ze społecznego punktu widzenia, jest przewlekłe zatrucie — alkoholizm chroniczny.

Powstaje ono zawsze, u tych co piją często, choćby bardzo małe ilości napojów alkoholowych.

Alkohol bowiem, nawet w małej dawce użyty, zostaje wydalony z organizmu bardzo powoli, w ciągu 48 godzin i później. Przy używaniu nawet małych ale częstych dawek alkoholu, nowa dawka zostaje wprowadzona do organizmu zanim poprzednia została wydalona; powstaje trwałe działanie małej ilości trucizny.

Ilość ta zaledwie wystarczy do zaatakowania bardziej delikatnych komórek mózgowych najwyższego rzędu.

Powstaje niewidoczne, ale trwałe przytępienie krytycznego sądu, zdolności do trudnych kalkulacyj umysłowych, najszlachetniejszych uczuć etycznych i estetycznych, co się daje wykryć tylko przy pomocy badań psychologicznych.

Człowiek pijący swoje dwa kieliszki wódki codziennie, albo jeden — dwa kufle piwa, niczem napozór nie zdradza zjawiającego się powoli i zdradliwie przytępienia umysłowego. Ta ilość alkoholu staje się nawet dlań jakgdyby konieczna, podnieca go i orzeźwia, tem niemniej przytępienie umysłu i woli zwolna ale trwale postępuje naprzód.

Że tak jest istotnie, potwierdzają liczne doświadczenia Krepelina i innych uczonych, które stwierdzają, że po wypiciu w ciągu kilku dni z rzędu jednego kieliszka wodki dziennie, w ciągu następnych dni kilkunastu liczba błędów przy liczeniu jest stale większa, gorsze są wyniki strzelania do celu i mniejsza wydajność pracy umysłowej.

Pod wpływem trwałego działania bardzo małej dawki alkoholu, człowiek w którym pokładano wielkie nadzieje, który miał talent olbrzymi, przyszły genjalny artysta, inżynier, dyplomata, mąż stanu, staje się potem człowiekiem przeciętnym i ani jemu samemu, ani innym do głowy nie przyjdzie, aby to załamanie najświetniej zapowiadającej się karjery, przypisywać tym niewielkim dawkom alkoholu, które pił najpierw, bo się tak zdarzyło, bo wypadało czasem wypić, wreszcie bo się przyzwyczaił i potrzebne mu one były dla „zdrowia". Jeszcze większe spustoszenia czynią małe, częste dawki alkoholu w najwyższej sferze uczuć ludzkich. Zjawia się pewna oschłość dla najbliższych, oziębłość dla przyjaciół i ojczyzny, zmniejszona wrażliwość na cudze cierpienia, obniżenie poczucia honoru i godności osobistej — stąd tak częste niedelikatności, grubijaństwa, nadużycia, defraudacje wykroczenia i przestępstwa.

To są naprawdę pijacy, choćby ich nikt pijanymi nie widział. I oni to stanowią największą klęskę

ze społecznego i narodowego punktu widzenia, bo ich jest, niestety, bardzo wielu we wszystkich sferach społecznych, nie wyłączając najwyższych dostojników, od których nieraz zależą losy i dobrobyt kraju.

Swietny przykład przytępiającego wpływu alkoholu na losy narodu mamy w naszej własnej historji.

Naród nasz od początku swego zjawienia się na arenie dziejów stale się rozwijał i doszedł w XVI w. do nadzwyczanej potęgi w dziedzinie politycznej w nauce i sztukach. Wódka była podówczas w Polsce nieznana, a wino i piwo pijali bardzo nieliczni. W wieku XVI niestety, wraz z wielu innemi umiejętnościami, nauczono się i sztuki pędzenia wódki ze zboża. Odtąd wysyłano z Polski, przez Wisłę i Gdańsk do obcych krajów coraz mniej galarów ze zbożem, bo coraz więcej powstawało karczm i gorzelni. Ubóstwo zawitało do kraju.

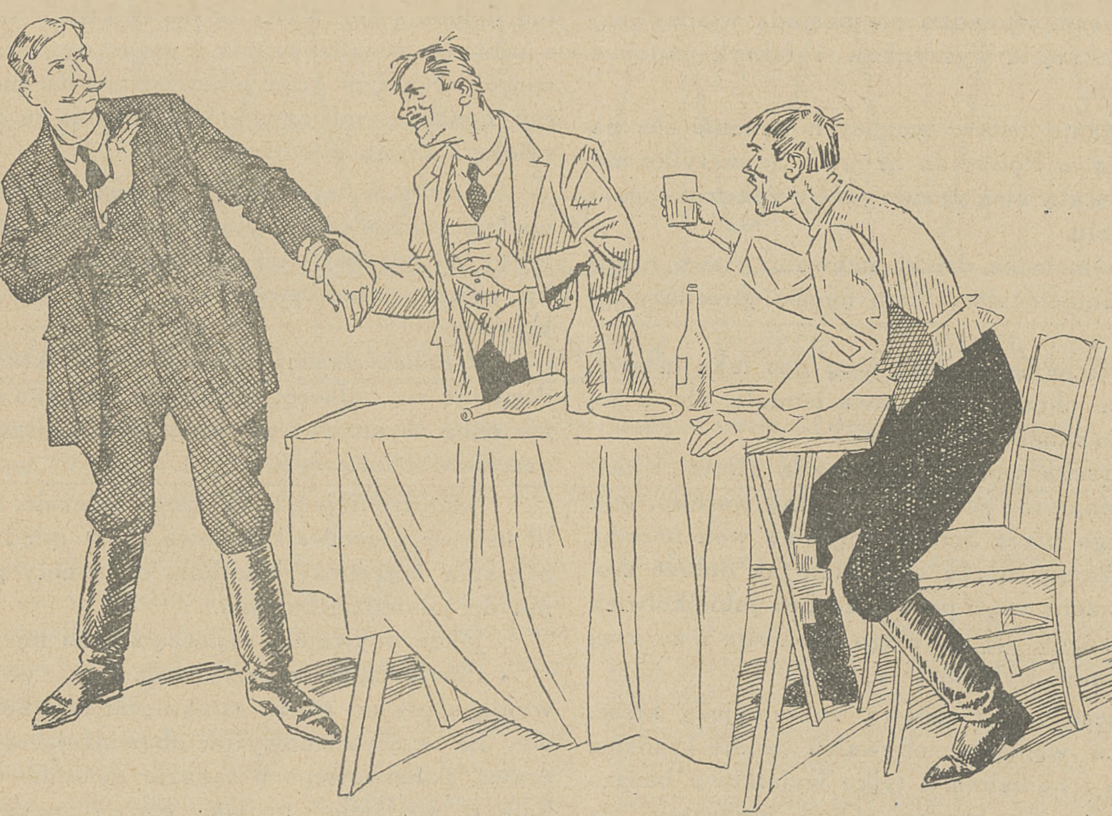
Pijaństwo ogarnęło wszystkie stany. Stopniowo, choć niewidocznie, naród doszedł do takiego zubożenia, że nietylko nie potrafił obronić granic kraju, ale stracił poczucie godności, upadlając się wreszcie podpisaniem własnego rozbioru. Rozluźnienia obyczajów, kłótliwości, przytępienie uczuć patryjotycznych, etycznych i estetycznych, przekupstwa i zdrady szlachty XVII i XVIII wieku należy szukać do pewnego stopnia w przewlekłem zatruwaniu alkoholem.

Trzeba było dopiero największego nieszczęścia, upadku wolności i wiekowej niedoli, aby się naród zaczął dźwigać z tego otępienia.

I przyszłe losy narodu należą między innemi od trzeźwości jego najszerszych warstw.

Niechby sobie pili i ginęli w obłędzie opilczym bezmyślni opoje, zatruwający się do utraty przytomności. Z nimi łatwiej da sobie radę społeczeństwo, wyrzucając ich poza nawias życia, umieszczając ich w więzieniach, szpitalach i przytułkach. Brońmy się przedewszystkiem od tych licznych rzesz pijaków, co nie upijając się, przytępiają małemi dawkami alkoholu najwyższe cechy swego serca i umysłu, utrata których wcześniej czy później prowadzi do zwyrodnienia i upadku narodu.

JAK TOBIE WOLNO PIĆ, TAK MNIE WOLNO NIE PIĆ.



Można śmiało powiedzieć, że gdyby nie było przymusu towarzyskiego, gdyby jeden pijący nałogowiec nie zmuszał do picia dziesięciu lękliwych, a słabych, pijących dlatego tylko, że tak zwyczaj każe, żeby się nie wyróżniać (co inni pomyślą?), wreszcie dla świętego spokoju — alkoholizm by się zmniejszył o połowę. Precz z przymusem towarzyskim!

MIKOŁAJ SKIBA.

Rząd, społeczeństwo i szynki.

Od początku roku, 1927 z ramienia Polskiego Tow. Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość“, objeżdżam cały kraj, urządzając w poszczególnych miastach, miasteczkach i wsiach wystawę przeciwalkoholową. Do chwili obecnej zwiedziło tę wystawę 132,485 osób, dla których odbyło się 868 wykładów z następującą po nich dyskusją.

W tych licznych pogadankach w najrozmaitszych okolicach Polski, ze strony słuchaczy różnych sfer i poglądów politycznych, a często nawet ze strony dzieci szkolnych, wszędzie padało zawsze jedno i to samo pytanie: skoro sprzedaż napojów alkoholowych niszczy ludzkie zdrowie, marnuje dobytek, zbrodniarzami zapełnia więzienia, samobójcami cmentarze, a na cały kraj sprowadza niedolę, **dlaczego rząd nie pozamyka szynków?**

Pytanie to jest tak powszechne, że warto na tem miejscu publicznie na nie odpowiedzieć.

Zamknięcie wyszynków, browarów i fabryk wódek to sprawa, którą może nakazać ustawa. Rząd polski nie jest upoważniony do wydawania ustaw, a więc i w tym wypadku nie posiada władzy nakazania zamknięcia wyszynków i fabryk napojów alkoholowych.

Uchwalanie ustaw, mogących zmienić zło na dobro, należy w Polsce do Sejmu i **Sejm tylko ma władzę uchwałą swą postanowić o zakazie sprzedaży alkoholu.**

Czy Sejm może dzisiaj uchwalić prawo, nakazujące zamknięcie wszystkich miejsc sprzedaży alkoholu?

Oczywiście Sejm może nam dać taką ustawę, ale nie o to chodzi, by ustawa istniała, ale o to, aby była doskonale wykonana.

Tutaj trzeba pamiętać, że każda ustawa, i każde prawo dopiero wtedy ma istotną wartość, gdy uchwalenie go przez Sejm wypływa z woli narodu, gdy przeważająca liczba obywateli tak dobrze zrozumiała potrzebę tego prawa, że bez jakiejkolwiek przykrości każdy się do niego dostosuje i ze swej strony dopilnuje wykonania ustawy.

Tak jest np. z ustawą zabraniającą kraść. Przeważająca większość obywaleli uznaje kradzież za rzecz złą i haniebną, a tylko wyjątkowe, bardzo nieliczne jednostki kradną. Ogół obywateli nie kradnie nie dlatego, bo kraść zabrania prawo, ale dlatego, **bo kraść nie chce,** brzydząc się takim postępkiem i wstydząc się być złodziejem. Każdy obywatel ma tak rozwinięte poczucie poszanowania ustawy, zabraniającej kraść, że sam jej dopilnowuje, chwytając złodzieja, by go oddać władzom do ukarania, a przez to ustawa daje nam korzyść, bo jest wprowadzona w życie.

Gdyby w jakimś kraju tylko kilkuset obywateli uznawało kradzież za rzecz złą, a pozatem gdyby wszyscy inni uważali, że kraść jest zaszczytnie, być złodziejem honorowo, chwytać złodzieja i oddawać go do sądu — to wstyd, — gdyby wszyscy na wszystkie strony kradli, ukrywając każdego złodzieja, to w takim kraju na nic nie przydałoby się uchwalenie ustawy, zabraniającej kradzieży, gdyż rząd, chcący w takim kraju dopilnować ustawy o kradzieży, musiałby prowadzić wojnę z całą ludnością i mimo to nie byłby w możności obronić ustawy.

Zupełnie podobnie ma się rzecz ze sprawą ustawowego zamknięcia szynków. Wolny wyrób i sprzedaż napojów alkoholowych: browary, fabryki wódek i wyszynki istnieją dlatego, bo z wyjątkiem bardzo nielicznych jednostek, **ogół obywateli chce pić,** bo wódki szukają, bo ją chętnie kupują, bo za nią uganiają się, jakby za największem szczęściem, a nikt nie wstydzi się pić, a nawet się upijać. W ten sposób w całym kraju objawia się wola picia: wszyscy codziennymi czynami dowodzą, że chcą mieć wódkę i szynk otwarty.

Gdyby w tej chwili posłowie w Sejmie wprowadzili prawo, zabraniające sprzedaży alkoholu, zrobiliby na przekór woli wyborców, którzy uważaliby, że ich przedstawiciele w Sejmie wyrządzili im krzywdę.

Przecież dzisiaj, ci sami ludzie, którzy ciągle dopytują się „dlaczego rząd nie zamyka szynków“, nie chcą uszanować znacznie łagodniejszego prawa przeciwalkoholowego.

Sejm zrobił już, co do niego należało, bo uchwalił ustawę przeciwalkoholową, która między innemi zabrania sprzedaży alkoholu od soboty po południu do poniedziałku rano.

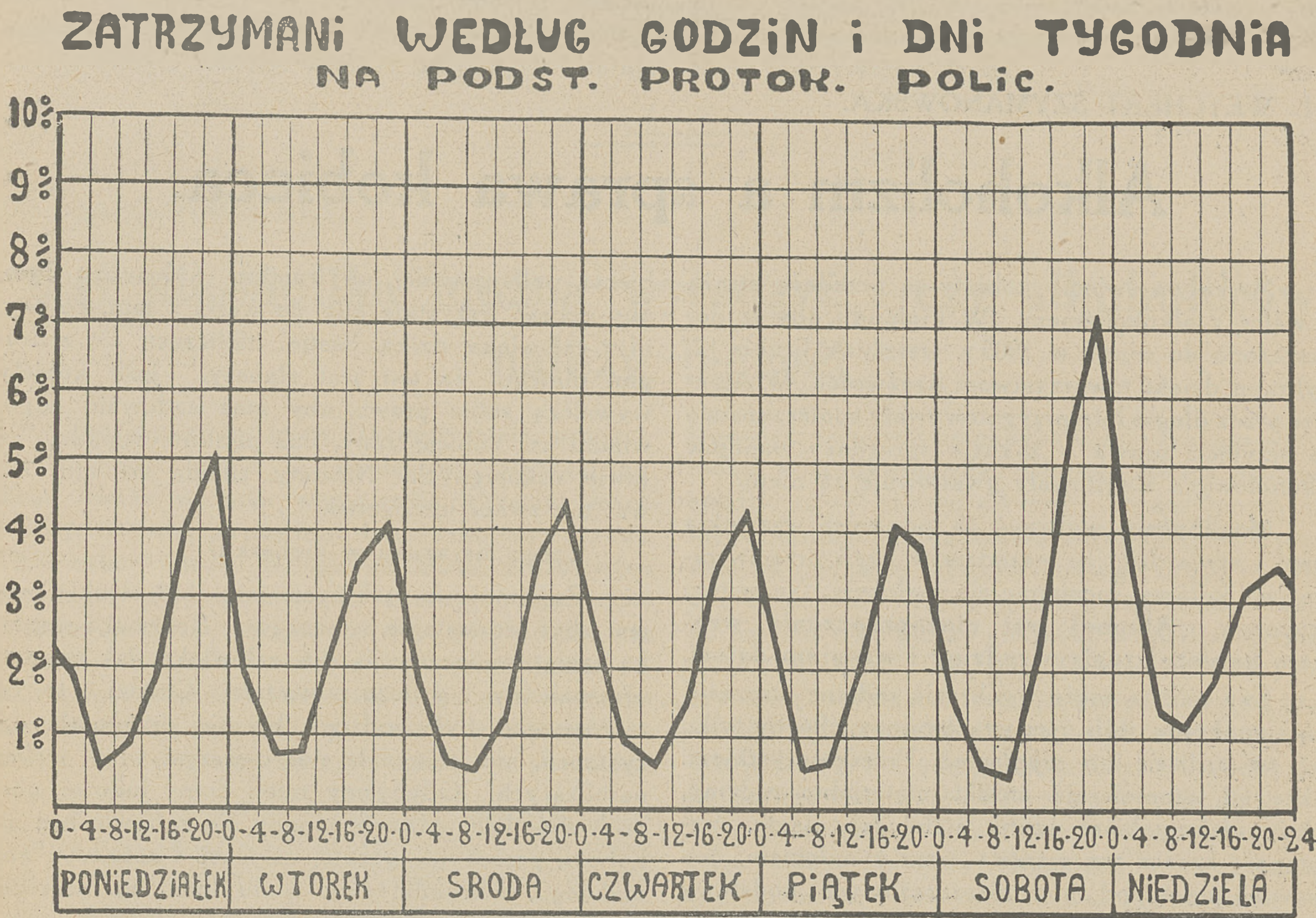
Jakże obywatele odnoszą się do tej ustawy?

Powszechnie przecież wiadomo, że wszyscy, wymagający od rządu zamknięcia szynków, ani nawet nie myślą zachowywać obowiązującego obecnie prawa państwowego o zakazie sprzedawania alkoholu w niedzielę i święta. Każdy „porządny obywatel“, który napewno wstydziłby się przekraczać ustawę zabraniającą kraść, nie wstydzi się przekraczać ustawy zabraniającej pić w niedzielę wódkę i bez wyrzutu sumienia każe ją sobie w szynku podawać.

Rząd, będący wykonawcą uchwał Sejmu, ze swej strony ściga przestępców, wykraczających przeciw niedzielnemu zakazowi, na szynkarzy nakłada kary pieniężne, a nawet znamy liczne wypadki odebrania koncesyj, lecz mimo to, z powodu złej woli obywateli, ustawa nie daje nam pożądanych korzyści. Chcąc jej w całej pełni dopilnować, trzebaby w niedzielę przy każdym „porządnym obywatelu" postawić policjanta.

W społeczeństwie, tak bardzo nieszanującem ustawy swego kraju, nie można myśleć o wprowadzeniu prawa jeszcze surowszego, a wobec tak powszechnego przekornego zachowania się obywateli, zapytania: „dlaczego rząd nie zamyka szynków" musi się uważać za czczą gadaninę, a nie za wyraz istotnej woli społecznej, pragnącej pod tym względem naprawy.

A jednak w Polsce tak bardzo potrzeba zakazu sprzedaży alkoholu, grzebiącego wszystkie warstwy narodu!



Według ustawy obowiązującej u nas nie wolno jest sprzedawać wódki od godz. 3 po południu w sobotę do godziny 10 rano w poniedziałek, a, jak widzimy z załączonego obrazka, w tym właśnie czasie zakazanym najwięcej jest aresztowanych. Kto temu winien, R z ą d c z y M y sami?

Takie dobre prawo może się w Polsce pojawić, ale na to trzeba, aby całe społeczeństwo wyraźnie objawiło swą wolę otrzeźwienia narodu i aby się czynnie przyłożyło do sprowadzenia tak pożytecznej przemiany.

Stać się to może wtedy, gdy w Polsce znajdzie się jaknajwiększa ilość obywateli, którzy już dzisiaj nie piją alkoholu nie z przymusu prawa, **ale ze swego własnego rozumu i ze swej dobrej woli.**

Skoro się widzi zło, pochodzące z rozwielmożnienia się alkoholizmu, to prostem następstwem tego spostrzeżenia powinno być takie życie obywatela, aby on, ani wódki, ani szynku nigdy nie potrzebował.

Gdy wszyscy ludzie rozumni przestaną pić napoje alkoholowe, to szynk będzie niezbędny tylko dla nielicznych nałogowych pijaków, a wtedy dopiero zamknięcie szynków przez Sejm i Rząd będzie miało pełną wartość, bo trzeźwe społeczeństwo samo dopilnuje, aby pijacy nie gwałcili prawa.

Ten sposób doprowadzenia do zamknięcia miejsc sprzedaży alkoholu jest jednak trudny, bo na to trzeba nie pić wódki, wina, piwa i innych napojów alkoholowych, ani w szynku, ani w domu; trzeba nie pić w święta, na weselach, chrzcinach

i domowych przyjęciach. Niestety, jesteśmy za leniwi i za mało odważni, by się przeciwstawić zgubnemu zwyczajowi powszechnego picia.

Każdy chce, aby mu w Polsce było jaknajlepiej, lecz nikt nie myśli o tem, co on sam ma zrobić dla polepszenia bytu narodowego. Każdy chciałby jaknajwięcej brać, ale jaknajmniej dawać. Jeśli jednak z życia w wolnej Polsce chcemy brać dobro, to przedtem sami musimy dać ze swej strony nieco trudu i wysiłku, zmierzającego do naprawy i polepszenia, do stworzenia tego społecznego dobra.

Kiedykolwiek jednak wypada nam samym postarać się o nasze własne dobro, wtedy chcemy, by to za nas zrobił ktoś inny, a zawsze najwygodniej tę dobrą robotę spychać na rząd.

Żaden rząd nie zdoła dokonać tego, co może i musi zrobić całe społeczeństwo.

WŁ. WEYCHERT SZYMANOWSKA.

Alkoholizm a sprawa kobieca.

Na całym świecie kobiety są przednią strażą w walce z alkoholizmem. W Finlandji, gdy je dopuszczono do sejmu w 1905 r. weszły w liczbie 12, wybrane dzięki towarzystwom trzeźwości. W Ameryce przez długie lata przygotowywały społeczeństwo do przyjęcia prawa o zakazie sprzedaży napojów alkoholowych i agitowały gwałtownie za niem.

Moglibyśmy wyliczyć tu po kolei wszystkie kraje i stwierdzić, że wszędzie w akcji przeciw pijaństwu kobiety specjalnie się zasłużyły. Nic w tem dziwnego. **Alkohol jest niezaprzeczenie wrogiem kobiet, wrogiem rodziny i wrogiem dzieci.**

Czy można sobie wyobrazić rodzinę szczęśliwą i spokojną, jeśli mąż wraca pijany, choćby tylko raz na tydzień po wypłacie? Przedewszystkiem, jakże się zmniejszają środki materjalne rodziny, jakiż haracz zabiera szynk stale! Jak ciągle, nieustannie haracz ten wzrasta wraz z nałogiem, jak usuwają się z pod nóg nieszczęśliwych podstawy ich bytu! Niemożliwą jest rzeczą, aby kobieta patrzyła na to obojętnie — ona, która co rano i co wieczór, przez cały tydzień głowić się musi, jak związać koniec z końcem i zaspokoić wszystkie potrzeby domowe. Ból musi się wylać z jej strony w słowach gorzkich, przykrych, które zresztą mąż pijany uprzedza, przychodząc z awanturą do domu. Krzyki, wymyślanie, a co za tem idzie zniweczenie harmonji domowej — oto konieczne następstwo pijaństwa.

Żona spokojna, bierna i pokorna nie jest ani trochę szczęśliwsza od awanturnicy; słodycz nie zabezpiecza jej od razów mężowskich.

I gdyby następstwem alkoholu była tylko potworność, że dziś w XX wieku, przy ogólnem zrozumieniu praw człowieka, gdy dziecka bić niewolno, zdarza się tak często, niestety, iż mąż bije żonę, gdyby tylko to zdeptanie godności ludzkiej w kobiecie, pełnoprawnej obywatelce — dosyćby było, aby zebrać wszystkie siły do walki z tem, co czyni z człowieka dziką bestję, nieliczącą się z drugim dlatego, że ten jest słabszy. Jeśli kobiety wywalczą sobie prawo, aby mąż sądownie odpowiadał za pobicie żony, iluż pijaków zasiądzie na ławie oskarżonych! Niestety, znajdą się tam na wet tak zwani inteligenci.

Czego się szuka w kieliszku?

Zapomnienia, jeśli życie jest zbyt ciężkie, jeśli jest zbyt jednostajne i męczące. Rozrywka jest taką samą koniecznością dla człowieka, jak pokarm urozmaicony i świeże powietrze. Chodzi o to, by ta rozrywka była godziwa, by nie druzgotała egzystencji, nie obarczała nas ciężarem winy wobec najbliższych. Gdybyśmy mieli domy ludowe, gospody-świetlice, gdzie możnaby się zabawić bez alkoholu, przeczytać gazetę, usłyszeć i zobaczyć coś pięknego, uchronilibyśmy wielu ludzi od nieszczęsnego nałogu.

Tak myśląc, Towarzystwo Klubów Kobiet pracujących otworzyło w sierpniu b. r. pierwszą bezalkoholową gospodę-świetlicę w warszawskiej spółdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu. W związku z instytucją, stwarzającą warunki nowego życia, można było uzyskać lokal, odpowiadający zadaniu i urządzić go tak, by swem pięknem pociągał, sprawiał przyjemność. Sprzęty proste, w stylu ludowym, nie banalne, każdy szczegół sharmonizowany, gazety, gry różnorodne, jak warcaby, szachy — oto co ma przyciągnąć tych, co chcą nietylko coś zjeść, lecz i odpocząć przyjemnie po pracy. Oczywiście gospoda-świetlica musi się stać terenem pracy oświatowo-kulturalnej. Odczyty, pogadanki, koncerty, zabawy taneczne bez alkoholu — to wszystko być w niej powinno. Zupełnie naturalnie zbierają się w świetlicy ludzie, którzy z łatwością się

organizują, jak np. młodzież abstynencka przy świetlicy na Żoliborzu. Musi się wytworzyć potrzeba życia towyrzyskiego na wyższym poziomie kultury i ta właśnie potrzeba łatwiej, niż wszelkie kazania i morały zwalcza alkoholizm. W gruncie rzeczy bowiem, rozpanoszenie się u nas alkoholu to z jednej strony przyzwyczajenie, przesąd i bezmyślność, z drugiej — brak wszelkięgo piękna w życiu.

Potrzeba piękna w najbliższem otoczeniu tkwi głęboko w duszy kobiety. Przypomnijmy sobie doniczki z kwiatami w oknach najbiedniejszych mieszkań, wycinanki chłopskie, kraszanki wielkanocne, hafty i robótki, któremi gospodynie starają się dom ozdobić; pomyślmy, jak kurczyć się i cierpieć musi wrodzone kobiecie poczucie piękna i ładu, gdy alkohol wkracza do jej gniazdka i zajmuje w niem coraz więcej miejsca. Gdyby nie obawa śmieszności, którą przyjaciele alkoholu starają się okryć swych przeciwników, jestem przekonana, że wszystkie kobiety stanęłyby w karnym zastępie bojowniczek o zdrowie fizyczne i moralne ludzkości, jako abstynentki. I to się stanie, gdy tylko uświadomimy sobie, że **walka z alkoholem to sprawa dosyć ważna, aby dla niej znieść drwiny i szykany,** to obrona szczęścia domowego, godności kobiety i przyszłości dzieci.

D-r STANISŁAW DERESZ.

Czy alkoholika można wyleczyć i czy alkoholików należy leczyć?

To są pytania, które słyszymy stale, gdy tylko zachodzi mowa o zwalczaniu alkoholizmu. Skąd bierze się taka wątpliwość? Przecież jeżeli istnieje choroba, to powinno być i lekarstwo na nią. Otóż cała trudność polega na braku zrozumienia dla istoty alkoholizmu, jako choroby. Alkoholika jeszcze mało kto uważa za chorego — sądzą, że to człowiek, jeżeli nie złej woli, to przynajmniej taki, który nie chce wyzbyć się złego przyzwyczajenia, że należy porządnie go ukarać, a zaprzestanie upijać się, i wszystko będzie w należytym porządku.

W myśl powyższych poglądów pijanych zabierają na posterunki policji państw., robią z nimi mniej lub więcej energiczne doświadczenia, mające na celu odzwyczajenie ich od alkoholu, wyznaczają im kary pieniężne albo areszt, a alkoholików mamy nie mniej, ale coraz więcej. Błąd polega na braku zrozumienia dla istoty zjawiska.

Alkoholizm szerzy się nie dlatego, że ludzie są źli albo mają wrodzone zamiłowanie do trunków, alkoholizm szerzy się przedewszystkiem wskutek braku uświadomienia wśród najszerszych warstw ludności, że alkohol to trucizna, że człowiek, który przyzwyczai się do trunków, to już człowiek chory na przewlekłe zatrucie alkoholem. Brakiem uświadomienia można wytłumaczyć ten nasz rodzinny barbarzyński zwyczaj zmuszania do picia każdego, kto ma nieszczęście być w towarzystwie ucztujących, a sam nie chce pić. Rzecz zrozumiała, że wszystkie znane niedomagania naszego życia zbiorowego jak brak mieszkań, trudne warunki bytowania i inne sprawiają, że często ludzie pracy uciekają ze swych legowisk, zwanych pomieszkaniami i szukają wytchnienia w szynkach, gdyż robotnik nie ma możności spędzić chwili wolnej od pracy w dostępnym dla niego bezalkoholowym lokalu rozrywkowym. Wprawdzie odwiedzanie szynków kosztuje drogo i to bardzo drogo, ale każdy przecież początkowo wchodzi do szynku z zamiarem nie picia, względnie wypicia tylko „jednego". Od tego „jednego" niestety zaczyna się zwykle nieszczęście, które kończy się przewlekłem zatruciem alkoholem, czyli częstą chorobą, Jak widzimy, dla odciągnięcia ludzi od wódki trzeba dużego uświadomienia i zmiany warunków, śród których żyjemy. To są rzeczy od nas niezależne, gdyż tylko zbiorowy długoletni wysiłek całego społeczeństwa może spowodować poprawę; musimy jednak dążyć do zmiany istniejącego stanu na lepszy. Nim nastąpi pożądana poprawa, nim ludzie przestaną zapadać na przewlekły alkoholizm, musimy zająć się tymi, którzy już zachorowali albo są na drodze do nabycia choroby. O nich musimy pomyśleć i przedsięwziąć wysiłki aby ich uratować od zguby.

Każda choroba jest łatwiejszą do opanowania wtedy, gdy jest niezbyt „zastarzałą", gdy nie poczyniła zbyt wielkich zmian w organizmie człowieka. Takich początkujących alkoholików winniśmy ratować, gdyż często dobre słowo, przyjacielskie wyjaśnienie, uczynione przez osobę cieszącą się zaufaniem początkującego nałogowca, może mieć decydujące zbawienne znaczenie.

Dlatego praca nad organizacją domów ludowych, restauracyj bezalkoholowych, świetlic i t.p. instytucyj, gdzie ci ludzie mogliby otrzymać potrzeb-

ne im wiadomości jest bardzo pilną. Niestety mamy przed sobą jeszcze długą drogę żmudnej pracy, nim Polska pokryje się siecią podobnych instytucyj. Przy każdej więc nadającej się sposobności i na każdem miejscu winniśmy szerzyć uświadomienie szkodliwości alkoholu.

Co jednak zrobić z tymi, którzy już stali się nałogowcami? Otóż okazuje się, że wyleczenie alkoholika, chociaż często trudne i żmudne, ale jest możliwe. Wysiłki poczynane nad leczeniem alkoholików dają wyniki nie gorsze, niż przy ratowaniu innych chorych np. gruźlików.

Dawniej sądzono, że alkoholika można leczyć tylko w specjalnym zakładzie, że należy go umieścić tam na przeciąg 1 — 2 lat, a wtedy on może i nie wróci do nałogu. Taki pobyt w zakładzie wymaga dużo pieniędzy i odrywa człowieka od jego zajęcia i dlatego jest niedostępny dla szerszych rzesz nałogowców. Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że znaczny procent kuracjuszów, zwolniony z takiego Zakładu, po powrocie do swych zwykłych warunków życia, wkrótce wracał do alkoholu, to zrozumiemy dlaczego leczenie alkoholików nie mogło mieć szerszego zastosowania. Obecnie na tę sprawę zapatrujemy się inaczej. Uważamy, że alkoholików zasadniczo należy leczyć w tych warunkach, w jakich oni muszą pozostawać stale. Dlatego też przekładamy cały ciężar leczenia tego rodzaju chorych na przychodnie przeciwalkoholowe, czyli traktujemy ich narówno z pacjentami, cierpiącymi na inne choroby, z tem zastrzeżeniem, że alkoholik winien pozostawać pod opieką lekarską od 1 do 2 lat, aby nie było nawrotu choroby. Jak przy zwalczaniu gruźlicy czy chorób wenerycznych, idziemy do mieszkania tego, który jest zagrożony jedną z chorób społecznych i uczymy go oraz jego otoczenie zasad życia higjenicznego, tak i przy alkoholizmie musimy zbliżyć się do chorego oraz jego domowników, aby nauczyć ich, co mają czynić dla ratowania chorego.

Samo leczenie alkoholików może być skutecznie przeprowadzone tylko przez odpowiednio przygotowanych lekarzy, gdyż żadne reklamowane przez zagranicznych szarlatanów specyfiki nie przynoszą nic poza stratą pieniędzy i rozczarowaniem.

Posiadane przez nas sposoby leczenia alkoholików bez „cudownych" środków dają nam możność otrzymania poprawy u większości pacjentów. Część naszych chorych, składająca się z ludzi wyjątkowo słabej woli, nie poddaje się leczeniu ambolatoryjnemu, dla nich jest niezbędnym Zakład leczniczy, szczególnie dla tych, którzy miewają okresy nasilenia swej choroby w tak znacznym stopniu, że ambulatoryjne leczenie nie wystarcza. Po przebyciu w Zakładzie okresu „głodu" alkoholowego, tacy pacjenci mogą wrócić do swych zwykłych zajęć z zastrzeżeniem, że jeszcze przez rok lub dwa pozostaną pod opieką przychodni przeciwalkoholowej.

Niestety, zakładów dla alkoholików mamy tylko 2: w Gościejewie (poznańskie) i w Tarnowskich Górach (Górny Śląsk), czyli że Polska jest właściwie pozbawiona możności leczenia swych alkoholików w Zakładach. Zakład taki, a nawet niejeden jest potrzebny w Warszawie i w każdem województwie.

Są już i tacy alkoholicy, których choroba o tyle posunęła się, że oni wymagają leczenia w szpitalu psychjatrycznym, gdyż są już psychicznie chorymi, ale i tu natrafiamy na brak miejsc. Toteż widzimy że tacy chorzy mordują ludzi, palą zabudowania i dopuszczają się i innych przestępstw.

Sprawa leczenia alkoholików posunie się wtedy naprzód, gdy samorządy zrozumieją, że w swym własnym interesie winny przystąpić do rozwiązania tego zagadnienia niezwłocznie, nie oglądając się na inicjatywę ze strony rządu, gdyż rząd może najwyżej poprzeć do pewnego stopnia taką akcję.

Magistrat m. Warszawy już zaczął otwierać przychodnie przeciwalkoholowe przy „Ośrodkach zdrowia". Dotychczas są czynne takie przychodnie w Mokotowie, na Ochocie, w najbliższym czasie mogą być uruchomione jeszcze 2. Oprócz tego Magistrat wystąpił do Rady Miejskiej z wnioskiem o udzielenie kredytu na otworzenie stacji ratowniczej dla osób zatrutych alkoholem, oraz na założenie zakładu leczniczego dla alkoholików. Wykonanie tego planu zwalczania alkoholizmu na terenie Warszawy jest obliczone na 2 — 3 lata.

Powinniśmy więc pamiętać, że 1) alkoholika można wyleczyć, o ile rozpoczął kurację nie zapóźno 2) alkoholików leczyć należy koniecznie, 3) wydatek poniesiony na zwalczanie alkoholizmu i leczenie alkoholików sowicie opłaci się, gdyż zaoszczędzi nam kosztów łożonych obecnie na więzienia, szpitale i opiekę społeczną, nie licząc innych strat, ponoszonych przez społeczeństwo, a sprowadzonych przez alkoholików.

Stopniowo, aczkolwiek nieco późno, rośnie w Polsce zrozumienie, że alkohol jest naszym wrogiem narodowym, zagrażającym już nietylko rozwojowi dobrobytu ale nawet istnieniu naszego państwa, gdyż podkopuje siły, ducha i moralność narodu.

Coraz więcej ludzi w Polsce zaczyna pojmować, że mając niezliczone trudności do pokonania przy utrwaleniu naszego bytu niepodległego, musimy mieć zdrowy duch w zdrowem ciele.

Zdrowia jednak niema tam, gdzie hołdują zasadom „jedzenia, picia i popuszczania pasa". Ponieważ obecnie zaczynamy pić jak za Sasa, może-

my doprowadzić Polskę znowu do nieszczęścia, o ile w czas nie opamiętamy się.

Do nielicznych u nas objawów, pocieszających pod tym względem, należy zaliczyć VIII polski kongres przeciwalkoholowy, który odbył się pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej 8 — 9 grudnia r. b. w Lublinie.

Obrady i uchwały kongresu świadczą o głębokiem odczuciu i zrozumieniu śród uczestników spraw związanych z walką z alkoholem. Liczny udział przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, obecność na kongresie p. Marszałka Senatu D-ra Szymańskiego nadają uchwałom kongresu niepowszedni walor, oraz wskazują na wysoki protektorat nad nim.

STANISŁAWA ADAMOWICZOWA.

Zabiła.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Jesteśmy w Moskwie. Przy wejściu do ogromnej sali klubu robotniczego, na terytorjum wystawy rolniczej tłoczy się tłum. Na bramie olbrzymie plakaty obwieszczają, że odbędzie się sąd „pokazowy", to znaczy, że sąd rozpatrywać będzie sprawę, na którą władze chcą zwrócić uwagę ludności. Sala od rana już przepełniona i dostać się do wnętrza trudno. Właśnie przyprowadzili oskarżoną. Jest nią Barbara S., oskarżona o zabójstwo męża.

Barbara S. ma lat 29. Urodzona w gubernji Tulskiej, jako pietnastoletnia dziewczynka dostaje się do Moskwy i tam pracuje najpierw jako praczka, później posługaczka w szpitalu, wreszcie jako pomywaczka w kooperatywie. W 1917 roku wychodzi zamąż. Już wkrótce po ślubie okazało się, że mąż Barbary to nałogowy pijak. Barbara pędzi ciężkie życie, ciężkie, zwykłe życie żony pijaka. Mąż bije ją i dzieci. Bije bez litości tem, co mu trafi pod rękę, łopatą żelazną, stołkiem, rondlem. Bije stale: w domu i na ulicy, w dzień i w nocy, na osobności i przy ludziach. Grozi, że zabije, utopi w rzece. Wypędza z domu ją i dzieciaki. Barbara z dziećmi nocuje u sąsiadów, na schodach, na strychu. Ale i sąsiedzi mają już tego dosyć, nie chcą wpuścić Barbary do siebie, boją się jej męża. Z dziewięciu ciąż pozostaje jej troje dzieci, reszta zmarła, lub nie została donoszona. Dzieci słabe, nerwowe, wszystkiego się boją, u najmłodszego oko i twarzyczka wciąż drga. Barbara też choruje i udaje się do przychodni; z przychodni skierowują ją do szpitala. W szpitalu lekarz stwierdza u niej kiłę.

W roku 1925 Barbara rozstaje się z mężem. Ale w Moskwie nietylko o mieszkanie, ale i o kąt trudno, Barbara pozostawia męża w izbie, którą zajmowali i przenosi się z dziećmi do malutkiej klitki w suterynie. Dla pewności barykaduje drzwi, sama dostaje się do mieszkania przez okno. Nie ma jednak spokoju: mąż zjawia się, żąda pieniędzy, zabiera ostatki na sprzedaż, bije w dalszym ciągu. „Złapał ją za włosy i ciągał po dziedzińcu, myślałam, że jej głowę zerwie", powiada świadek.

Barbara udaje się dziesiątki razy do Komitetu Domowego, do rejonowego psychjatry, do milicji. Lekarz sądowy wydaje jej świadectwo o pobiciu, ale cóż jej z tego. Komitet zarządzający domem skierowuje do sądu sprawę o wysiedlenie z domu jej męża — i sprawę wygrywa, ale wysiedlić pijaka nie tak łatwo. Dwa razy dziennie prowadzi go stróż do milicji, ale to nie posuwa sprawy naprzód. Zawsze potrafi dostać się do żony, zbić ją, zniewolić.

„Może to nie od choroby, a od tego ciągłego bicia po głowie i po brzuchu nie mogłam dziecka donosić", mówi cichym obojętnym głosem Barbara. Słowa jej słychać w najdalszym zakątku sali, tak jest cicho. Wtem ktoś zaczyna szlochać na głos: histerycznie płacze jeden z robotników; wyprowadzają go z sali.

Wreszcie, nastaje okropny dzień 13 maja 1927 roku. Barbara, korzystając z urlopu z powodu choroby, jest w domu. W oknie ukazuje się mąż zupełnie pijany. Barbara wydostaje się przez okno na dziedziniec. Mąż zaczyna ją bić, chce udusić. To nie ona tak mówi — to słowa świadków. Barbara chwyta jakiś młotek, leżący na podwórzu, uderza męża w skroń, uderza kilka razy, potem chwyta kamień i powtarza uderzenia. Ludzie na dziedzińcu uciekają w popłochu — ktoś telefonuje po pogotowie, ktoś woła prezesa komitetu domowego. Prezes nadbiega, ale wszystko już skończone. „Męczyłam się dziesięć lat, dosyć", powiada zabójczyni.

W kieszeniach zabitego znaleziono dwie wypróżnione półbutelki, przyszedł żeby wymusić od żony pieniądze na dalsze picie.

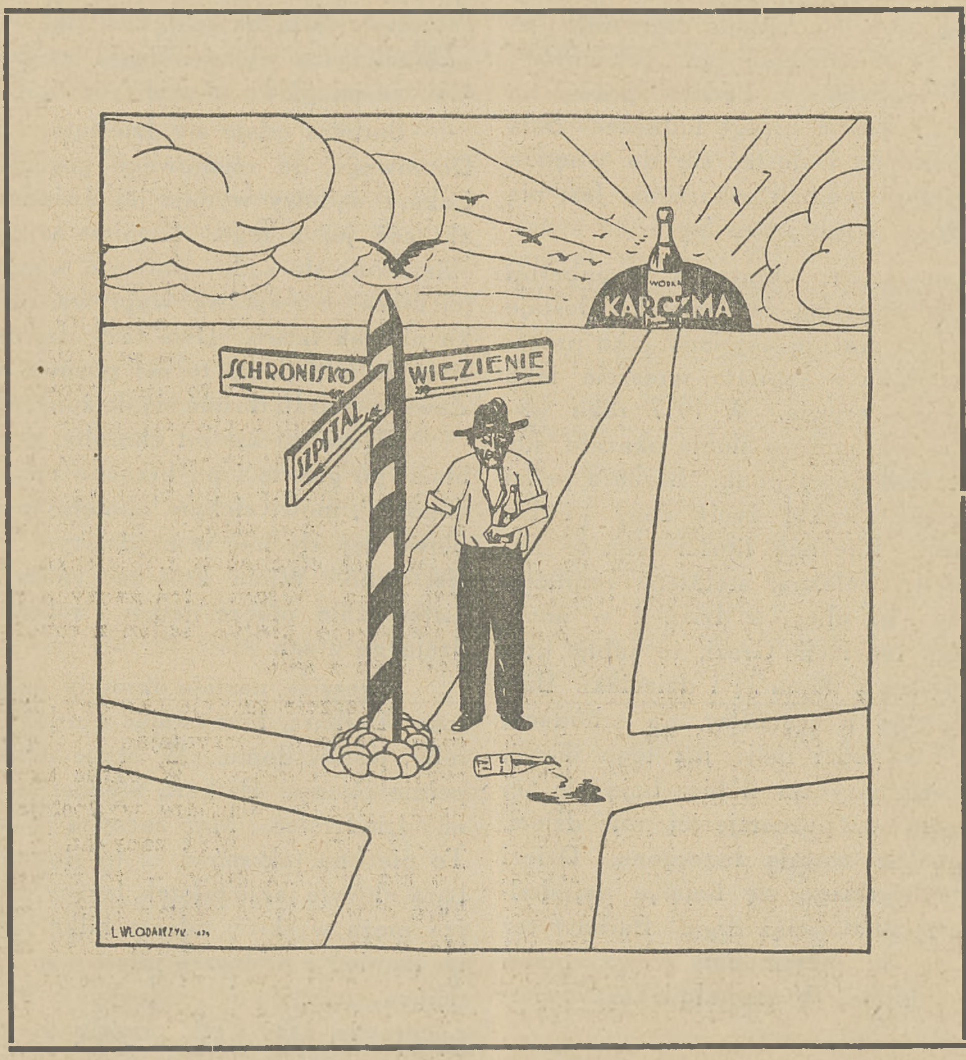
Przed sądem staje 12 świadków. Są to sąsiadki, które dawały przytułek Barbarze i jej dzieciom, mieszkańcy gnieżdżący się obok, w suterynie, lub współlokatorzy, zajmujący kąt w klitce Barbary. Są i kompanowie męża. Jest prezes komitetu domowego. Wszyscy potwierdzają jej słowa: bił, katował, zabierał wszystko co do grosza, niewolił.

Mowa obrońcy przyjęta jest grzmotem oklasków. Ale sędzia się gniewa: „to nie teatr, każę opróżnić salę“.

Barbarę sąd skazuje na „pozbawienie swobody“ na przeciąg jednego roku — ale, z uwagi na nędzę materjalną 3-ga jej dzieci, wykonanie wyroku zawiesza.

Tłum wali z sali. Mowa tylko o procesie. Kobiety, których los przypomina przeżycia zabójczyni, płacząc głośno, skarżą się na swą dolę. Wszyscy są poruszeni. Tworzą się grupy. Miejscowy psychjatra rejonowy w podnieceniu zaczyna przemawiać do tłumu: „co mamy robić, woła, co mamy robić, gdy przychodzą do nas żony nieszczęśliwe, zbite, wyrzucone z małemi dziećmi na ulicę, bez grosza, głodne, sponiewierane; co mamy powiedzieć tym, co szukają napróżno pomocy u nas, w milicji, w sądzie“. Tłum słucha w skupieniu, odzywają się liczne głosy przytakujące.

Po sądzie nad zabójczynią, odbywa się na ulicy sąd nad alkoholizmem.



Trzy są ostateczne widma, które grożą każdemu alkoholikowi: więzienie, przytułek i szpital. Słusznie, że nie każdy musi dojść do tego końca, ale każdy może, nikt bowiem, zaczynając od jednego kieliszka nie wie, na ilu skończy. Gubi człowieka nie ostatni kieliszek, lecz pierwszy.

WŁ. WEYCHERT SZYMANOWSKA.

Nieludzka nędza i alkohol.

Było to na jesieni 1908 r., gdy już przygasały ostatnie iskry rewolucji, a po Warszawie uganiały się setki szpiclów i prowokatorów, przeciskając się do wszelkich organizacyj. Za jakiś odczyt, który został wiernie powtórzony w „ochranie" dostałam się do więzienia w ratuszu. Siedziałyśmy w celi dla „politycznych", ale sąsiadowałyśmy z ogromną salą „kryminalnych". Były to prostytutki i żebraczki, które przechodziły przez krótki areszt w ratuszu, poczem odsyłano je na miejsce zamieszkania, skąd one już bez opieki policji wracały znów na bruk stolicy i znów po pewnym czasie nawiedzały ratusz. Ostatnia nędza materjalna i moralna, niedola wprost nieludzka.

Pomimo grubych murów, z celi kryminalnych dochodziły do nas wrzaski i kłótnie, okropne przekleństwa, histeryczne zawodzenia. Brud tam był okropny, powietrze nie do zniesienia, istne piekło na ziemi. Towarzyszka mej niedoli, p. Stefanja Sempołowska postarała się o cukier, który jej z wolności przysyłano dla tych nieszczęśliwych. Pozatem uradziłyśmy, że trzeba im czytać jakieś łatwe i ładne nowelki i obrazki. Chodziłam więc codzień o 5-tej po obiedzie, czytałam z godzinę, a potem rozmawiało się trochę, przechodząc od książki do życia.

Kiedyś w takiej rozmowie poruszyłam sprawę alkoholu. Kiedy powiedziałam, że źle jest pić, przerwała mi jedna z prostytutek:

— E, proszę pani, a któraż z nas wytrzymałaby bez wódki, napiję się, to mi potem wszystko jedno.

— Dobrze to pani mówić.

Zrozumiałam. Istotnie musiałam im się wydać bardzo śmieszną. Mówić o trzeźwości do prostytutek! Tak, alkoholizm i prostytucja to dwie siostry rodzone, przyjaciółki nierozłączne. Zrozumiałam to, lecz chcąc przecież powiedzieć coś, co miałoby jakiś sens życiowy dla tych nieszczęśliwych istot, zaczęłam znowu:

Pewnie, życie bywa czasem tak straszne, że człowiek zapiłby się na śmierć, ale tem więcej trzeba chronić od nieszczęścia tych, co jeszcze w nie nie wpadli.

Gdyby pani miała dziecko, czy dawałaby mu pani alkohol? zwróciłam się do najbliżej siedzącej, znanej awanturnicy, Wandy, która była w ratuszu postrachem dozorczyń, bo wymyślała każdemu, nie bojąc się ciemnej komórki, gdzie sadzano za karę.

Zerwała się na równe nogi z płonącemi oczyma.

— Ja — gdybym miała dziecko, tobym na kamieniach głowę mu roztrzaskała, żeby nie męczyło się tak, jak ja. Psie życie, wieczna mordęga. Każdy dokucza. Ale jak ja się spiję, to im też nadokuczam, nadokuczam — niech mają za swoje!

Zaczęła bezładnie opowiadać o swem życiu, a ja słuchając, myślałam, ile energji zmarnowanej, ambicji zdeptanej, fantazji prawdziwie bohaterskiej wsiąknęło w brud życia u tej kobiety. Gdy mówiła o tem, jak uciekała strażnikom, jak stawiała się w sądzie, jak „odpowiadała" gościom, żałowałam, że ta bogata natura zmarnowała się dla narodu, któremu służyć mogła w chwale swych czynów

—Jutro niech pani przyjdzie przeczytać znów coś o „ludzkiem" życiu, pożegnała mnie Wanda, choć ta moje psie życie i z wódką i z gnojem.

Pielęgniarka w przychodni przeciwalkoholowej.

Coraz gwałtowniej szerzący się w czasach powojennych i coraz liczniejsze ofiary pochłaniający alkoholizm sprawił, że ludzie dobrej woli, pełni troski o zdrowie moralne i fizyczne narodu, dołożyli wszelkich starań, by zwalczanie tego straszliwego w skutkach nałogu postawić na jedno z pierwszych miejsc. Tu leży źródło powstania przychodni przeciwalkoholowych w ośrodkach zdrowia, mających na celu zwalczanie chorób i zapobieganie im.

W dziale przeciwalkoholowym, podobnie zresztą jak i w innych, udziela się nietylko porad lekarskich i stosuje doraźne zabiegi, lecz prowadzi się też drogą uświadomiania walkę, która jest tem skuteczniejsza, że działa szerzej i na dłuższą metę. Uświadomienie w kierunku szkodliwości nałogu wywiera wpływ dodatni nietylko na osoby dotknięte i ich rodziny, lecz, przedostając sie nazewnątrz, stwarza grunt dodatni do dalszej pracy.

Nie przesadzam twierdząc, że należyte prowa-

dzenie propagandy uświadamiającej jest nieodzownym warunkiem owocnego działania przychodni.

W przychodni pracuje lekarz i pielęgniarka. Lekarz bada chorych, naznacza im rodzaje leczenia, nadaje kierunek całej pracy, pielęgniarka pomaga lekarzowi, odwiedza pacjentów w domu, stara się ich skłonić do korzystania z poradni, bada co ich skłania do oddawania się nałogowi i stara się te przyczyny usunąć.

Wiele możnaby powiedzieć o tem, jak ta działalność bywa owocna. Ponieważ największą moc przekonywania posiadają jednak konkretne fakty, przytoczę niżej przykład, wzięty z pracy pielęgniarki w dziale przeciwalkoholowym.

A więc mamy do czynienia z człowiekiem młodym, bo zaledwie trzydziestoparoletnim, robotnikiem, żonatym, mającym 3-je dzieci, nałogowo pijącym od 5 lat. — Zgłosił się on do naszej poradni przed rokiem. Wydawanie niemal całego zarobku na wódkę wywołało nędze i niesnaski w domu. Żona wyczerpana fizycznie i moralnie nie wiedziała co począć, była bezradna i zrozpaczona. Dzieci żyły w ciągłej obawie przed ojcem, przed jego gniewem.

Niemożliwe wprost warunki materjalne, krótko mówiąc nędza i związane z nią długi skłoniły żonę do szukania gdzieś właściwej pomocy. Jeden z uleczonych przez naszą poradnię alkoholików — sąsiad — wskazał jej nasz adres. Kilkakrotne pogawędki z żoną, trapioną głównie niedostatkiem i niezdającą sobie sprawy z konsekwencyj, jakie dla zdrowia męża pociągnie za sobą alkohol, uświadomiły ją w tym kierunku. Całkowite przekonanie i pozyskanie żony okazało się jednak mało owocne. Niesnaski panujące w domu uniemożliwiły porozumiewanie żony z mężem i przekonanie go dla nas. Kilkakrotne próby bezpośredniego porozumienia się pielęgniarki z chorym zawiodły i trudno było zetknąć się z nim, bo wracał bardzo późno do domu — wszelkie wezwania przychodni pozostały bez echa. Nasz pacjent w wódce tonął. Wówczas pielęgniarka zwróciła się do właściciela fabryki i po przezwyciężeniu wielu trudności, których tu nie będziemy poruszać, uzyskała chętną pomoc z jego strony. Właściciel spełnił przyrzeczenie i skutek niezbyt długo dał czekać na siebie. Na ponowne wezwanie pacjent zjawił się w przychodni — nietylko jednak nieprzekonany, że to się czyni dla jego dobra, lecz przeciwnie, w najwyższym stopniu oburzony i podniecony. Zachowanie jego było wyzywające, zwroty brutalne dochodzące do obelg. Odmówił kategorycznie rozmowy na temat swych dolegliwości, zaznaczając że przyszedł jedynie zakazać wtrącania się w jego sprawy osobiste. Łagodne i wytrwałe przekonywanie — niezwracanie uwagi na wysoce ordynarne zachowanie się, argumenty wykazujące dobrą wolę, bezinteresowność przychodni — powołanie się na przykłady, na dodatni wpływ przychodni, na sąsiadów pacjenta, zainteresowanie się silnie skaleczoną i zaniedbaną jego ręką, zrobienie właściwego opatrunku — przełamały wreszcie lody. Po kilkakrotnem wznowieniu rozmowy pacjent ustąpił tak dalece, że zgodził się udać do lekarza.

Wpływ lekarza ostatecznie przechylił szalę i zadecydował o losie pacjenta. Wkrótce stał się on częstym gościem przychodni i zupełnie zaniechał używania alkoholu. W kilka miesięcy potem niesnaski domowe wywołane nadwątlonemi nerwami pchnęły pacjenta ponownie w ramiona nałogu. Wpływ pielęgniarki na rodzinę chorego i na niego samego, ponowne posiedzenia sprawiły, że po krótkim upijaniu się — zaprzestał pić na stałe.

Długotrwała troskliwa opieka pielęgniarki, zażegnywanie nowych nieporozumień, przyniosło pożądane skutki: znikło pijaństwo, poprawiło się zdrowie i stan domu naszego pacjenta. Podniósł się on na duchu, dzieci znów odczuwają obecność troskliwego ojca, żona ma męża i opiekuna, w domu dostatek.

Być może, że przytoczony przykład zawiera wyjątkowo szczęśliwe okoliczności, podkreślające dodatnie wyniki naszych wysiłków i nagrodę w postaci uratowania ofiary zgubnego nałogu. Zaznaczyć jednak trzeba, że przykład ten nie jest bynajmniej odosobniony, że podobnych mu możnaby przytoczyć wiele.

Pielęgniarka społeczna.

Różne przygody trafiają się pijakom.

Dla ocucenia zupełnie nieprzytomnego pijaka, kiedy istnieje obawa, że może się więcej nie obudzić, albo też może na śmierć zmarznąć na mrozie, stosuje lud prosty na Ukrainie i w niektórych zakątkach kraju naszego oryginalny środek, zawsze będący pod ręką. Ratujący zlewa poprostu twarz nieprzytomnego pijaka świeżym, ciepłym moczem.

Przesąd ten sięga głęboko w przeszłość i łączy się z innym ciekawym wierzeniem ludowym. W dawnych czasach twierdzono, że wódka w człowieku pi-

janym może się zapalić i że pijakowi wówczas grozi śmierć. Wiele przypadków tego rodzaju jest nawet opisanych, choć każdy piszący mówi, że zna wypadki tylko ze słyszenia. Dziś wiemy, że są to brednie. Pochodzenie tego przesądu jest dość jasne. Pijak, siedząc przy piecu, łatwo zasypia i wtedy może się zapalić na nim ubranie, jak i na każdym innym człowieku śpiącym, tylko, że pijany ze względu na to, że jest bezwładny, znacznie częściej ulega nieszczęściu i często, paląc się, początkowo nie czuje tego. Kiedy ludzie sypiali na piecach lub przy kominach źle urządzonych, zdarzały się takie nieszczęśliwe wypadki spalenia się pijanych częściej niż dziś. Ludzie ciemni i do dzisiejszego dnia wierzą w ten przesąd, twierdząc, że wódka w człowieku może się zapalić, a za jedyny środek ugaszenia pożaru — uważają zalanie płomienia „buchającego" z ust pijaka świeżym moczem.

Czy te przykłady nie świadczą przypadkiem o pogardzie, jaką najprostsi ludzie czują do pijaków?

Jak Ślimak kupował krowę?

(WYJĄTEK Z PLACÓWKI B. PRUSA).

Gospodyni sprzątnęła miskę ze stołu, następnie weszła do komory. Po niedługiej chwili wyniosła stamtąd flaszkę wódki i dwa kielichy, a na talerzu wędzoną kiełbasę i widelec z wyłamanym zębem.

— Do was, kumie — rzekł Ślimak, nalewając wódkę.

— Pijcie z Bogiem.

Wypili i w milczeniu zaczęli gryźć suchą kiełbasę, położywszy na talerzu widelec...

— — — — — — — — — — — — —

Ślimak zamyślił się i nagle uderzył ręką w stół.

— Kumie, sołtysie — zawołał podniesionym głosem — sprzedajcie mi krowę.

— Sprzedam! — odparł Grochowski i równie uderzył o stół ręką.

— Dam wam... trzydzieści i jeden rubel... jak was kocham.

Grochowski uścisnął go.

— Dajcie, bracie, trzydzieści... — no i cztery ruble papierkami i rubla srebrnego za postronek...

— — — — — — — — — — — — —

— Kumie... sołtysie... mówił Ślimak, wybijając pięścią. Dam ci, ile sam zechcesz, zatem... powiedz ostatnie słowo. Twoje słowo warte u mnie więcej niż pieniądz, boś ty mądry ... ty jesteś najmądrzejszy w całej gminie. Wójt to świnia ... U mnie ty jesteś wójt, a nawet lepszy od samego komisarza, boś ty mądry... Najmądrzejszy w całej gminie, żeby mnie palarusz tknął.

Opletli się ramionami, a Grochowski — zapłakał.

— Józek! ... bracie! — mówił — nie nazywaj mnie sołtysem, ino bratem, bom ja twój brat, a tyś mój brat.

— Wojciechu ... sołtysie... Gadaj, ile chcesz za krowę?... Dam ci, żebym miał sobie z wnętrza wypruć.

— Trzydzieści i pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek.

— O la Boga! — odezwała się gospodyni. — A przecie dopiero co dawaliście krowinę za trzydzieści i trzy ruble?

Grochowski podniósł zalane łzami oczy najprzód na nią, potem na Ślimaka.

— Oddawałem? — spytał.—Józek, bracie... czy oddawałem ci krowę za trzydzieści trzy ruble? ... Dobrze! ... oddaję... bierzcie... Niech zmarnieje sierota, byleś ty, mój bracie, miał porządną krowę, jak się patrzy.

Ślimak jeszcze mocniej uderzył pięścią w stół.

— Ja mam zarabiać na sierocie?... Nie chcę!... Dam trzydzieści pięć rubli i rubla za postronek.

— Co ty gadasz, głupi — reflektowała go żona.

— Nie bądź głupi! ... poparł ją Grochowski. Takeś mnie ugościł, takeś mnie przyjął, że ci oddam krowę za trzydzieści i trzy ruble. Amen, to moje słowo.

— Nie chcę!... wrzeszczał Ślimak. — Ja nie żyd, żebym brał za gościnność ...

— Józek! ... mówiła żona.

— Poszła, baba. — krzyknął, z trudnością podnosząc się ze stołka. Dam ja ci mieszać się do moich interesów ...

Nagle wpadł w objęcia płaczącemu Grochowskiemu.

— Trzydzieści i pięć rubli papierkami i rubla srebrnego za postronek ... — zawołał.

— Żebym z piekła nie wyjrzał, nie chcę... Trzydzieści i trzy... — szlochał Grochowski.

— Józek — znowu odezwała się żona, — Przecie uszanuj gościa... Przecie on starszy od ciebie, on sołtys, jego tu wola, nie twoja... Maćku, —

zwróciła się do parobka — a dopomóż mi odprowadzić ich do stodoły.

— Sam pójdę... ryknął Ślimak.

— Trzydzieści i trzy ruble — jęczał Grochowski. Zabij mnie... porąb na drobne kawałki, ale grosza więcej nie wezmę... Ja pies, ja Judasz, ja cię chciałem oszwabić i dlategom mówił, że do Grzyba krowę prowadzę... Alem ją prowadził do ciebie, boś ty mój brat...

Wzięli się obydwaj pod ręce i wyszli z alkierza, zmierzając zrazu do okna. Lecz gdy Maciek otworzył im drzwi do sieni, po kilku mniej pomyślnych próbach wydostali się na dziedziniec.

Gospodyni, zapaliwszy latarnię, wzięła z komory płachtę i poduszkę, ażeby posłać Grochowskiemu w stodole. Otóż, idąc przez podwórko, zobaczyła dziwną scenę. Ślimak leżał na kupie gnoju i zachęcał Grochowskiego do spania, a sołtys klęczał przy nim i, ocierając łzy sukmaną, mówił pacierz. Nad obydwoma stał zakłopotany parobek.

— Musieliście im coś mocnego zadać — rzekł do gospodyni.

— Wypili flaszkę okowity.

— Oho! — ho!...

— Wstawaj! ty pijaku — zawołała kobieta do męża.

— Nie wstanę — odparł z gniewem — a ty, babo, uciekaj, pókiś cała. Skończyły się babskie rządy!.. Kupiłem krowę i wezmę od jaśnie pana łąkę... Tera nastąpią moje rządy.

— Józek, podnieś się, — mówiła gospodyni — bo ci wody na łeb naleję.

— Ja ci naleję, jak wezmę do garści biczysko!... — odparł Ślimak.

Grochowski upadł mu na piersi i zaczął go całować.

— Wstań, — bracie, — błagał go — nie rób piekła w domu, żeby nas obu nie spotkało zmartwienie.

Parobek nie mógł wydziwić się, widząc, jak wódka zmienia ludzi. Sołtys, w całej gminie znany z twardego charakteru, płakał jak dziecko, a znowu Ślimak nie chciał się podnieść z gnoju, krzyczał jak ekonom i jeszcze groził kobiecie, że teraz nastały jego rządy!...

— Chodźcie, sołtysie, do stodoły — rzekła Ślimakowa, ujmując za rękę Grochowskiego.

Olbrzym podniósł się cichy, jak owieczka i, prowadzony pod jedno ramię przez Maćka, pod drugie przez Ślimakową, szedł gdzie kazano. Gospodyni na największej kupie siana urządziła mu piękne spanie; ale tymczasem zmorzony sołtys runął na klepisko i tam został, skąd żadną miarą nie można go było podźwignąć.

— Ty, Maćku, idź se na swoje posłanie — rzekła do parobka Ślimakowa — a ten pijak, dodała wskazując na męża — niechaj śpi w gnoju, kiedy zrobił taki bunt...

— — — — — — — — — — — —

Około północy Ślimak ocknął się. Poczuł, że mu cięży głowa i że jest mokro. Otworzył oczy — ciemno; wytężył słuch, wyciągnął rękę i poznał, że deszcz pada; spróbował usiąść i przekonał się, że ma nogi wyżej niż głowę.

Stopniowo zaczęła mu wracać pamięć. Przypomniał sobie sołtysa, krowę w czarne łaty, jaglany krupnik i wielką flaszkę wódki. Co się stało z wódką? — tego nie był pewny, ale wiedział, że jest mu jakoś niezdrowo i że niezawodnie zaszkodził mu krupnik, który był bardzo gorący.

— A zawdy gadam, żeby na noc jagłów nie gotować, bo najdłużej zatrzymują w sobie gorącość — mruknął i podniósł się z trudnością...

ADRES REDAKCJI: Warszawa, ul. Chocimska 24.

ADRES ADMINISTRACJI: Warszawa, Mokotowska 49 Pol. Lek. T-wo Wydawnicze.

Druk. W. Nowakowski, Polna 70, tel. 504-12.